Rok 1935. 25 sierpnia Nr. 35

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO”
Pod redakcją Eli Oleskiej.

Smaczny pierniczek.

Komu obcy smak piernika,
Niech zapyta się Jerzyka.
Zresztą pytać rzecz zbyteczna,
Mówi o tem minka grzeczna,
Uszka trzęsą się z ochoty,
Oczka skłonne do pustoty,
Zęby wbite w miąższ piernika
Mówią same za chłopczyka.
Ale niechaj się pojawi
Józik, z którym on się bawi,
A piernika nie zna wcale,
Bo mu obce wszelkie bale, —
Zaraz Jerzyk część piernika
Odda chętnie dla Józika,
Bo to są dwaj przyjaciele,
Chociaż liczą lat niewiele.



U leśnych ludzi.

Ciągle jeszcze obijają się echa po odbytym zjeździe harcerzy w Spale. W zeszłym numerze pisaliśmy o rzeczy bardzo poważnej, o owej sali, która cała poświęcona jest tym chłopcom z zastępów skautowskich, którzy oddali swe życie dla Ojczyzny na polu chwały. Dziś pomówimy o czemś innem.

Oto, jak się przedstawił obóz spalski jednemu z gości, co pojechali tam, by na własne oczy zobaczyć to miasto namiotów, miasto najradośniejszej w świecie młodzieży: U samego wejścia do obozu brama zbudowana z powyginanych konarów sosen, a z obu jej stron stróżują dwa groźne smoki, wyszczerzające zęby w otwartych paszczach. Możnaby się cofnąć na widok takich potworów, lecz okazują się one zupełnie bezpieczne, gdyż zrobione są poprostu z gałęzi sosnowych, odpowiednio wygiętych, o łupiącej się korze. Do takiego brunatnego kadłuba dorobiono łby z kawałków pieńków i wsadzono w nie wycięte z drzewa zęby.

Był to obóz harcerzy wileńskich, wśród których widocznie znajduje się niepośledni majster, gdyż o parę kroków dalej, znowu natykamy się na podobne, jak tamte, arcydzieło w najprostrzem naśladowaniu przyrody. Z gałęzi najbliższej sosny spogląda na nas rogata twarz jakiegoś chyba bożka leśnego, któremu z pośród otwartej, uzębionej gęby wygląda zegar, odgrywający tu rolę budzika. Każdy namiot tego litewskiego obozu posiada go-

dło swojego zastępu wykonane bardzo udatnie. Widzimy więc naprzód żbika. Dla utworzenia grzbietu zwierzęcia wzięto znowu kawał gałęzi z czerwonawo-rudą korą, osadzono to na czterech patykach, niby na nogach, w miejscu, gdzie ma być głowa, umieszczono dwa kawałki węgla, czarną tęgą kreską naznaczono pysk otwarty, przymocowano nad tem dwa pęczki słomy ze szczotki ryżowej — i oto gotowy, świetnie naśladowany żbik, znak zastępu harcerzy.

Przed namiotem komendanta figuruje sowa — jako znak mądrości. I znowu, podobnie jak poprzednio, użyty kawałek pieńka, ma po bokach przymocowane dwa płaskie, owalne kawałki — skrzydła; łeb upiększają dwie półszyszki, mające naśladować oczy, a kawałek spiczastego patyka, odpowiednio przybitego, naśladuje dziób. Szpony otrzymał ten nocny drapieżnik całkiem niegroźne, bo z kawałków palczastych korzeni.

Masztu, na którym powiewa chorągiew drużyny, strzegą trzy smoki, niby rodzeni bracia tych, co stróżują u bramy. Opodal, między dwiema sosnami, kapliczka harcerska z krzyżem wśród promieni, okolonym wygiętemi w kształt koła gałęziami.

Każdy namiot ma takiego swego strażnika, zależnie od godła zastępu, a każde z tych godeł zatknięte na tyce, podobnie jak ów żbik, tak doskonale wyobraża prawdziwe zwierzę, że patrząc nań, już zdaleka poznaje się, kto mieszka pod namiotem — „wilki“, „rysie“ „jelenie“ czy jakie inne „lwy“ — harcerze.

Wnętrze utrzymane w największym porządku. Legowiska zasłane wileńskiemi tkaninami, podobnie i stół. Nawet fotel dodaje wygody — zrobiony również z sosnowych gałęzi nieokorowanych. Z boku stojak na wszelki sprzęt. Wszystko to wykonane jest przez samych chłopaków już tam na miejscu. Toteż niemało sprawia im radości, gdy się ich pracę pochwali, ale nie tylko pracę, lecz i pomysłowość oraz piękno ich wyrobów.

Bardzo ważną rolę w życiu harcerskiem odgrywa kuchnia, którą sami sobie prowadzą i — sami muszą zbudować. Oto mniejwięcej wygląd kuchni zupełnie prostej, a zrobionej na wzór kuchni Huculów: Nad dołkiem-paleniskiem wkopane pionowo dwa tęgie pale. Do nich przymocowane drutem i blachą dwa inne w ten sposób, aby można je dowolnie zwracać w którą bądź stronę, a na ich końcach górnych umieszczono wieszaki, na których wiesza się kotły ze strawą. Bywają i inaczej jeszcze urządzone kuchnie, przy których nie piecze tak biednego „kucharza“ ogień w nogi.



Również i najrozmaitszej budowy bywają mieszkania harcerzy niekoniecznie zawsze namioty. Ślązacy naprzykład wystawili w Spale kilkadziesiąt, a m. i. szałasy jedno i dwustronne, ziemianki, jedne budowane na palach jak stogi siana na Polesiu, i z drewnianą podłogą, do innych wchodzi się na czworakach, a jeszcze inne zrobione są niby wojskowa ziemianka w czasie wojny, i do takich wchodzi się w dół po schodkach.

Wszystko to zrobić umie harcerz, to też nie dziw, że z takich chłopców, i dziewcząt wyrosną potem dzielni ludzie, których nie złamie byle trudność w życiu. Niechaj więc żyje harcerstwo!

Z życia naszych ptaszków.

W jednym z poprzednich numerów mówiliśmy o tem, jak to ptaszki noc spędzają. A więc jedne milkną niemal równocześnie z nadejściem mroku, inne pośpiewują sobie dłużej, n. p. drozd. A już dla słowika właśnie noc jest porą do zapamiętywania się w pieniach najcudniejszych, by kończyć je w umęczeniu dopiero o szarym świcie. Odezwie się też nieraz nocą i kukułka, ale jej kukania nie nazwiemy przecież śpiewaniem; wreszcie i złota wilga, tak zresztą znana ze swych pięknych pogwizdów i w dzień.

Ledwie pierwsze promienie słoneczne musną ziemię, już ptaszki budzą się do nowego życia. Na piórkach ich lśnią delikatne kropelki rosy nocnej, że wyglądają jakby poprzetykane były złotym pyłkiem. Niektóre z nich rozpoczynają odrazu chóralne popisy, inne pojedyńczo witają pieśnią dzień, a któż zaprzeczyć może stanowczo, że to nie jest ich poranna modlitwa, ich pokłon dla Stwórcy i Pana wszechstworzenia? Czyż nie mówi nasza pieśń staropolska ustami poety Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa *żywioł wszelki*: bądź pochwalon, Boże Wielki!"

Czeka ptaszęta wiele pracy od samego rana, nikt się bowiem o nie trudzić nie zamierza. Jeśli same nie wyszukają sobie pożywienia, zginą z głodu, jeśli sobie same piórek nie wyczeszą, nikt im tualety nie zrobi, nikt im jajek nie wysiedzi, ani piskląt nie nakarmi.

Niestety, tej cudnej ozdoby naszych gajów i lasów z każdym rokiem staje się coraz mniej, im więcej wycinają ludzie drzew z dziuplami, w których zwykły się gnieździć sikorki, bargle, dzięcioły i t. p. Z największą też szkodą dla ptactwa niszczy się zarośla tarniny, wikliny, głogów, leszczyny i innych, gdzie tak chętnie gnieździły się drobne ptaszyny. Wreszcie zagłada zupełna czeka te, które zamieszkiwały różne zakątki pod korzeniami drzew i nory ziemne po lasach, lub w ułożonych sągach drzewa na sprzedaż, kryjąc się tam najlepiej ze swemi pisklętami.

Tylko niewiele ptaków przenosi się, skutkiem wyniszczenia lasów, do miast i wsi, zadowalając się umieszczanemi dla nich na drzewach domkami. Jeśli i tego im nie damy, świat ptactwa wymarnieje, ale i człowiek wyjdzie na tem najgorzej, gdy mu zabraknie pomocników do walki ze szkodliwemi owadami i robactwem.

Wiele trudu wymaga też od niektórych ptaków zaopatrzenie śpiżarni na zimę. I tak n. p. bargiel robi sobie zapasy z pestek dojrzałych ogórków, nieraz nawet wprost ze śpiżarni gospodyń, a chowa je w szczelinach kory drzew. W schowkach wilgotnych przechowuje też orzechy, gdzie z czasem miękną im łupiny i wtedy dopiero przemyślny ptaszek dostaje się łatwo dzióbem do wnętrza. Niejedno z dzieci pomyśli sobie może, czemu nie poprosi wiewiórki o rozłupanie orzeszka. Ale czyby ten rudasek milutki chciał się podzielić takim przysmakiem z jakiemś skrzydlatem stworzeniem?! W każdym razie nie wiewiórki krakowskie, które na Plantach tak się już oswoiły, że na środku ścieżki siadają przed przechodniami, prosząc ich stulonemi łapkami o orzeszek, albo wtykają nosek do kieszeni lub do papierowych torebek, gdzie spodziewają się znaleść coś dla siebie.

Ale wróćmy jeszcze na chwilkę do ptaków. Z większych, jak n. p. sowa, zwana „płomykówką" (gdyż ma pióra jakby malowane w płomienie), przechowuje w swoim śpichrzu myszy, jaszczurki i owady, aby mieć gotowe pożywienie, kiedy niespodziewanie w nocy lunie deszcz i uniemożliwi jej łowy. Wiadomo bowiem, że sowy polują tylko nocą, gdyż wtedy dopiero widzą dobrze, podobnie jak koty.

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział Marjan Warta. *(Ciąg dalszy).*

Obfitość ich jest tak wielka, że trzy drzewa doskonale wyżywią człowieka przez całe lata, a na czas, gdy drzewo przez trzy miesiące odpoczywając, nie rodzi, można łatwo porobić zapasy. Jest to dla mieszkańców okolic podzwrotnikowych prawdziwy chleb, gdyż biały, mączny miąższ niedojrzałych owoców, chętnie przez nich jadany i na surowo i ugotowany lub pieczony, jest niezwykle pożywny, taksamo jak rzadka, żółta miazga owoców dojrzałych, lub znajdujące się we wnętrzu ziarna oleiste.

Uprawia się to drzewo łatwo w krajach gorących, gdzie ma jeszcze różne zastosowanie, ponieważ kory jego używa się do farbowania i garbowania, z jego mocnego łyka robi się ubranie, a cenne drewno służy do sporządzania łódek i innych narzędzi.

Ale dzicy mieszkańcy krajów, w których rośnie ten chlebowiec, nie korzystają z soku, jaki z tego drzewa spływa obficie po nacięciu, dając kauczuk, nie gorszy, jak fikus.

W tym zaś właśnie celu postanowił pan Willington drzewa te na Borneo wyzyskać i na wielką skalę uprawiać je w plantacjach kauczuku. Dla poczynienia odpowiednich doświadczeń, udał się na wspomniane miejsce, gdzie chlebowiec rósł obficie dziko; razem z nim wyjechali i panowie Bryls i Mersen, oraz dwaj starsi urzędnicy zarządu, wraz z gromadką służby. Nadto do towarzystwa wprosił się i młody nauczyciel Willa, któremu należały się dla wytchnienia wakacje po długotrwałej pracy nad uczniem.

W kolonji pozostało kilku starszych i kilku młodszych urzędników, wszyscy Anglicy, na czele licznej służby malajskiej, w domu zaś dyrektora mały Will pod troskliwą opieką Banki.

Gdy wyprawa wczesnym rankiem odjechała, chłopczyk długo spoglądał za oddalającym się ojcem, poczem zaczął samotnie przechadzać się po rozległym placu dokoła biur zarządu, skąd roztaczał się szerszy widok na okolicę, zamkniętą z jednej strony puszczą drzew olbrzymiej wysokości, z drugiej zaś łańcuchem górskim, w którym daleko, u kresu widnokręgu, bielił się wieczystym śniegiem najwyższy na wyspie Borneo szczyt Kinibalu, na blisko 4200 metrów wznoszący się nad poziom morza.

Rozmyślał Will nad tem, co miało znaczyć pogrożenie pięścią przez jednego z brunatnych robotników plantacji w stronę odjeżdżających. Kiedy do domu wrócił, miał ochotę powiedzieć o tem Bance, lecz zmilczał, bo mu się zdawało, że w ten sposób oskarżyłby owego Malaja o coś złego. Ale już po obiedzie powiedział to swojej niani z chwilą, gdy ona przed nim wyznała, że po wyjeździe dyrektora zaczyna być w strachu o Willa, ponieważ słyszy wśród Malajów głośne szemranie. Przed wieczorem wreszcie rzekła:

— Zanosi się na bunt!

Will nie zdawał sobie sprawy, do czego przyjść może, ale z miny Banki widział, że ona się lęka poważnie czegoś złego. *(C. d. n.)*

Rozwiązanie szarady z nru. 34

Bal. Mina. Misa. Mi. Na. Balsamina.